
Wyprawa do tu-teraz

Agnieszka Dauksza

TEKSTY DRUGIE 2023, NR 6, S. 33–56

DOI: 10.18318/td.2023.6.3 | ORCID: 0000-0001-8269-6096

Badania wykonano przy wsparciu finansowym Priorytetowego Obszaru Badawczego Heritage w ramach Programu Strategicznego Inicjatywa Doskonałości w Uniwersytecie Jagiellońskim.

Teraźniejszość jedynie się miewa. Najczęściej jest tłem, wydarza się mimochodem, rozciąga się jako pomost między tym, co przeszłe i przyszłe – a przynajmniej łatwiej tak to sobie wyobrażać. Kiedy indziej bywa mgieniem na tyle przelotnym, że trudno ją pomyśleć i poczuć. Zwykle świadomość tego, co terażniejsze, pojawia się wyrywkowo, w intensywności, w spotęgowaniu realiów, przez dotkliwość. W nagłych rozpoznaniach, w chęci zatrzymania wyróżniającej się sceny, gdy obecna chwila zdaje się mrugnięciem kierowanym bezpośrednio do podmiotu, do „mnie” jako jednostki zanurzonej w tu-teraz, które mogłoby trwać wiecznie. Ale świadomość terażniejszości aktualizuje się też wobec realiów nie-do-wytrzymania, w pragnieniu, by wysiłek, trud czy ból wreszcie skurczyły się do znośnych rozmiarów. Jednak nawet w takich okolicznościach nie ma mowy o doświadczeniu czasu jako takiego, jest za to odczucie wzmożenia kontaktu z otoczeniem, zresztą niekoniecznie chcianego czy zgodnego z oczekiwaniami.

Może się zdawać, że do niczego poza terażniejszością nie ma dostępu – przeszłość i przyszłość są mgławicą,

Agnieszka Dauksza – adiunktka na Wydziale Polonistyki UJ, autorka książek: *Jaremianka. Biografia* (2019), *Afektywny modernizm* (2017), *Klub Auschwitz i inne kluby. Rwane opowieści przeżywców* (2016, 2021), *Kobiety na drodze. Doświadczenie przestrzeni publicznej w literaturze przełomu XIX i XX w.* (2013). Redagowała m.in. tomy: *Maria Jarema. Wymyślić sztukę na nowo i Świadek: jak się staje, czym jest?* Kontakt: agnieszka.dauksza@uj.edu.pl.

w której da się namierzyć kształty jedynie po omacku. Ale z jakichś względów nawet terażniejszość nie jest dana, jest dziwnie nieuchwytna, choć przecież zostawia liczne ślady. Nie są to jednak pozostałości czasu, lecz materialne zmiany, których nie sposób na bieżąco rejestrować; skumulowane uchodzą za przejawy przemijającej terażniejszości. Ich percepcja jest rwana, ale to właśnie ona wytwarza zawsze subiektywny efekt „upływu czasu”. Odczucie terażniejszości ciągle i na nowo gubi się w tych percepcyjnych wyrwach. Obecny moment niby zawiera się w napięciu między „przed” i „po”, problem jednak w tym, że trudno stwierdzić, co jest właściwym odniesieniem – czym jest to coś, co poprzedza „teraz”, i to coś, co dopiero po nim nastąpi. Lawirowanie między perspektywami „było” i „będzie” wypełnia i jednocześnie pochłania „teraz”. Ci, którzy badają neurologiczne i biochemiczne aspekty procesów poznawczych ludzi, piszą o trwającym w nas nieustannie dynamicznym stanie pobudzenia, w którym dokonują się odbiór, selekcja i opracowanie przychodzących bodźców¹. Pobudzenie wiąże się jednak ze stanem percepcyjnego i afektywnego mikrozawieszenia, z którego dopiero po chwili wyłania się gotowość reakcji – zatem odczucie tego, co nadchodzi, jest za każdym razem spóźnione². Terażniejszość umyka w próbach jej pochwylenia, przynajmniej ta pojęta jako minimalna jednostka odczuwanego czasu.

Wytracanie terażniejszości

Czy nie jest podobnie z terażniejszością pojmowaną szerzej, terażniejszością społeczną? Obiegowo uznaje się ją za interwał czasowy pozwalający przekroczyć przeszłość i jednocześnie materiał, z którego można budować przyszłość. Jednak pojmowanie aktualności jako czegoś „pomiędzy”, łącznika lub martwego czasu, który należy przeczekać, by przyszłość stała się faktem, nie jest przecież oczywiste – to kulturowo zmienny konstrukt.

Lekceważenie terażniejszości ma wielowiekową tradycję judeochrześcijańską – mijały epoki, a doczesność stale była marnym cieniem przeszłego życia wiecznego. Oczekiwanie na Mesjasza, dzień sądny, zbawienie czy życie wieczne nie dotyczyło przecież wyłącznie wymiaru sakralnego,

1 Por. A. Damasio, *Jak umysł zyskał jaźń. Konstruowanie świadomego mózgu*, przeł. M. Karpiński, Rebis, Poznań 2016; tenże, *Błąd Kartezjusza. Emocje, rozum i ludzki mózg*, przeł. M. Karpiński, Rebis, Poznań 2016; J. LeDoux, *The Emotional Brain: The Mysterious Underpinnings of Emotional Life*, Simon & Schuster, New York 1998.

2 Por. B. Massumi, *Autonomia afektu*, przeł. A. Lipszyc, „Teksty Drugie” 2016, nr 3.

ale determinowało codzienność i wiązało się z biopolityczną i symboliczną zależnością od instytucji, również wyznaczających czas pracy, rozrywki i odpoczynku, pokoju i wojny. Jeśli pokorne przeczekiwanie tego, co przynosi los, miało być podstawową powinnością człowieka przednowoczesnego, to ludzie nowoczesni musieli zacząć utożsamiać pokorę z szybkością wykonywanych działań. Nowoczesność stopniowo przejmowała i los, i czas do realizacji całkiem świeckich celów. Czas raz jeszcze, choć już na innych prawach, stał się narzędziem opanowywania, władzy i kontroli. Podporządkowano go rytmowi postępu, odrywając od natury, ludzkiej fizjologii i doświadczenia przestrzeni. Ci, którzy pracowali na rzecz jak najbardziej efektywnego wykorzystania czasu, zostali wysadzeni z teraźniejszości – doczesność jednostek i wspólnot była traktowana marginalnie, jako plastyczny biomateriał pod budowę przyszłości, cudzej przyszłości. Ludzie nieznaczeni działali więc na rzecz przyrostu kapitału, ekspansji i rozwoju kolejnych pokoleń, jednocześnie zatracając swoją ówczesność, prawo do intymności, próżnowania, nudy, ale i własnego tempa pracy. Debora Vogel na początku lat trzydziestych XX wieku uchwyciła te przemiany w krótkich scenach z budowy stacji kolejowej:

On jest kierownikiem robót ziemnych. On nie nazywa się więcej szczegółowym imieniem. Imię jest tu nieważne. On kontroluje. On zlicza szychty. On popędza. Dalej, ludziska... dalej... dalej... Każde dziesięć minut – kilometr drogi. Co pół godziny – szychta. [...] Szybko... szybko... szybciej pędź [...] kulisty bieg chłodnych dwu równoległych linii. I mury tęsknią do pionu. To one każą popędzać, przynaglać, szpik z kości wyciskać, aż ludzie czernieją, podobni do wyschłej kory drzewnej, i jak w trosce, która się może ciągnąć już aż do śmierci³.

Ci nieliczni, którzy nadzorują pracę, i ci, którzy ją masowo wykonują, zatracają cechy szczególne. Są wykonawcami nadrzędnego prawa postępu – bo to on steruje ciałami, popędza, wyniszcza i wysysa. Biopolityczna zależność jednostek od ram rozwoju kapitalistycznego nie ma końca, podobnie jak nie kończy się praca przyrostu dróg i wytyczania ścieżek cywilizacji – tych i kolejnych. Wyniszczane ciała są zastępowane następnymi, równie bezimiennymi, zależnymi od pracy i nie swojego tempa, nieznaczące życia bez zbędnej zwłoki przechodzą w niemal anonimową śmierć. Czas – a konkretnie przyrost i zysk – znajduje ciągłość w pasożytnictwie na cudzym doświadczeniu.

3 D. Vogel, *Akacje kwitną. Montaż*, Austeria, Kraków 2006, s. 111-112.

Zygmunt Bauman za główną strategię rozwoju nowoczesności uznał „obmyślanie sposobów szybszego wykonywania pracy i eliminowania «bezproduktywnego», jałowego, próżnego, a przez to zmarnotrawionego czasu”⁴. Nie chodziło przy tym jedynie o przyspieszanie i specjalizację działań oraz cięcie kosztów budowy i produkcji, czego skutkiem stały się nieludzkie warunki pracy. Jeszcze jednym celem było zaprzęgnięcie codzienności, prywatności i tego, co mogłoby służyć odpoczynkowi i rozrywce, w służbę postępu społecznego. Tak zwany czas wolny stał się materiałem koniecznym do zagospodarowania:

Czas jest takim surowcem: kłajstrowaty, brudny, rozwiązły surowiec. Czas jest ociężałym ciałem nudy i ciałem monotonii. Inżynier zajęty przy budowie stacji, każdy inżynier, przerabia surowce. I wstrętną materię czasu. Wtedy powstają mury, ulice i pasaże⁵.

Jak ironicznie podkreśla Vogel, czas nieużyty, niezatrudniony idzie na społeczną pastwę, a ta – według logiki kapitalistycznej – jest wyrazem nieracjonalności, niegospodarności i nieodpowiedzialności. Dni, które nie należą do pracy, są stracone: „dni bez losu; marginesowe i nieodpowiedzialne; bez wagi, do pustych cegieł je przyrównać”⁶.

Poskramianie czasu nie trwało długo; jego standaryzacja przebiegała wraz z wydłużaniem dniówek, limitowaniem przerw i dni wolnych od pracy oraz postępującą ekspansją w przestrzeni⁷. To oczywiste, że zarządzanie czasem – podobnie jak ludzką przestrzenią, intymnością, dostępem do praw i usług – było i jest konkretnym narzędziem nie tylko dyscyplinowania, ale i projektowania wspólnoty. Chodzi o określenie pór aktywności i odpoczynku, nadanie afektywnej symboliki świętom, wypracowanie schematów rutyny, modelowanie zasad interpretacji tego, czym jest priorytet, konieczność, pośpiech, mobilizacja, spóźnienie, przerwa, czas wolny, nuda i rezygnacja. W praktyce mowa więc o rzekomo obiektywnych, a wcale nieintuicyjnych praktykach i regułach, które niekoniecznie odpowiadają cykлом biologicznym, realnym możliwościom i potrzebom, za to z pewnością wytwarzają i utwierdzają kolejne podziały. Repertuar tych norm jest niemal nieskończony, ale z pewnością

4 Z. Bauman, *Płynna nowoczesność*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków, s. 175.

5 D. Vogel, *Akacje kwitną*, s. 114.

6 Tamże, s. 115.

7 Z. Bauman, *Płynna nowoczesność*, s. 179.

w jego zakres wchodzi zarządzania dotyczące pracy od świtu, nauki od wczesnych godzin porannych, pracy w godzinach nocnych, braku lub niedostatku przerw oraz niedostępności miejsca do odpoczynku.

Standaryzacja nie dotyczyła jedynie codzienności obywateli, ale i tych, którym tego statusu nie przyznawano: podbijanych, kolonizowanych i zniewalanych. Obejmowała też byty nieludzkie, zwierzęce i roślinne, których cykl wzrostu, rozmnażania, produktywności i śmierci był dostosowywany do zasady celowości i maksymalnej wydajności, czyli wyłącznie do potrzeb ludzkich. Ten proces trwa nadal, a skala ingerencji w naturalne czasowości i rytmy doprowadza do wyjałowienia zasobów, destabilizacji biorównowagi i w efekcie do katastrofy ekologicznej, która de facto przekreśla nowoczesne nadzieje na niekończący się rozwój, przekreśla przyszłość gatunków w ogóle.

Pochód nie byłby jednak możliwy, gdyby nie powtarzalność gestów. Wykonywane masowo, na akord, tworzyły rytm współczesności – rytm był efektem standaryzacji czasu, a zarazem wyznaczał nowe standardy. Mozolna rutyna gestów przynosiła wymierne zyski, o wiele łatwiej było też trzymać w ryzach ciała działające według schematu. Ich zaprogramowany rytm stał się inspiracją dla rozwiązań totalnych, między innymi systemowego wyniszczania materii skazanej na pracę i tylko pracę. Wymuszenie gestów inicjowało proces ograniczenia swobody ruchów, koncentrowania pracowników i takiego grodzenia przestrzeni życiowej, by uniemożliwić ich rozproszenie i rozprężnięcie rytmu. Pozorna wolność była znaczone siatką wytycznych i obostrzeń, które miały stanowić cywilizację. Jednocześnie te ramy stały się wartością strzeżoną przed przedstawicielami innych wspólnot⁸. Grodzenie się przed przybyszami nie wynikało przy tym jedynie z niechęci do odmiennych kultur i ich wartości, ale też z obawy, że obcość – inny rytm bycia, wychowanie w nietożsamych reżimach czasowych – zdestabilizuje obowiązujący ład czasoprzestrzenny, zmieni odczuwanie czasu w ogóle.

Walka czy może raczej wyścig o niewspólną przyszłość był (i jest) eksperymentem biopolitycznym, który – jak przekonuje Achille Mbembe – w nowoczesności płynnie przekształcił się w nekropolitykę, czyli takie działania systemowe, które cudzą śmierć uznają nie za efekt uboczny, błąd czy przypadek, lecz za właściwy cel swoich działań⁹. Dla Europy polem testowym metod nekropolitycznych były zamorskie kolonie. Rdzenne ludności w Amerykach,

8 Tamże, s. 176-180.

9 A. Mbembe, *Nekropolityka*, w: tegoż, *Polityka wrogości*, przeł. K. Bojarska, Karakter, Kraków 2018.

Afryce i Azji podlegały europejskim wytycznym, które kontrolowały nie tylko system pracy, wyzysku i śmiertelności pracowników, ale i definiowały, czym jest ich życie. Zarządzanie cudzą materią było też oczywiście operacją na czasie – wiązało się ze standaryzacją, z narzucaniem europejskich miar i regulacji, ujarzmianiem lokalnych form doświadczania czasu. Przelamywanie oporu przez koncentrowanie ludzi, ograniczanie ich mobilności, przetrzymywanie, umieszczanie w więzieniach i obozach wbrew pozorom nie było i nadal nie jest jedynie chwytem przestrzennym. Opresja polega też na unieruchomieniu w czasie, odebraniu prawa do rozporządzania swoją terażniejszością.

Bauman interpretuje zjawisko nazistowskich obozów jako nieunikniony efekt nowoczesnego pędu ku postępowi¹⁰, Mbembe widzi w nich kontynuację eksperymentu kolonialnego, który ze względu na swoją opłacalność znalazł kontynuację bezpośrednio na kontynencie europejskim¹¹. Z jednej strony chodziło o przyspieszenie masowej eksterminacji ludności niearyjskiej, a z drugiej strony o maksymalny – czasowy i przestrzenny – zysk i rozwój rasy panującej. Ale ten proces wiązał się też z testowaniem tego, ile – i jak długo – może wytrzymać człowiek zmuszony do nieludzkiego wysiłku i ile trwa wytracenie życia z kogoś, kto został przeznaczony wyłącznie do pracy. Giorgio Agamben przekonuje, że właśnie tym eksperymentem Niemcy pozyskiwali czas: powoływali trzecią kategorię istnienia, zawieszoną między życiem i śmiercią, byty nieumarłe¹². Stwarzano ludzi godzących się na wszystko, jeszcze zdolnych do pracy, powtarzających wymuszone gesty, ale przeznaczonych na celową śmierć – i to taką, która miała być umierającym obojętna, bo nie należała już do nich, nie była podmiotowa. Primo Levi określał ich mianem „półludzi”, którzy „maszerują i męczą się w milczeniu”, widział w nich „anonimową masę, wciąż odnawianą i zawsze jednakową”, „ludzi, których trudno nazwać żywymi i którzy nawet nie boją się śmierci, bo są zbyt zmęczeni, aby ją zrozumieć”¹³.

Obozowi muzułmanie zwykle są opisywani jako figury bez emocji i refleksji, bezwolni i pozbawieni wszelkiej reaktywności; ci, którzy pod wpływem drakońskich warunków zostali wyniszczeni za szybko, szybciej niż inni. Levi

10 Z. Bauman, *Nowoczesność i Zagłada*, przeł. T. Kunz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2009.

11 A. Mbembe, *Nekropolityka*, s. 225.

12 G. Agamben, *Co zostaje z Auschwitz. Archiwum i świadek*, przeł. S. Królak, Sic!, Warszawa 2008, s. 49.

13 P. Levi, *Czy to jest człowiek*, przeł. H. Wiśniowska, Książka i Wiedza, Warszawa 1996, s. 99-100.

odwraca jednak ten tok myślenia i sugeruje, że mużłmanie „zostali pokonani, zanim zdolali się przystosować; minęli się z czasem; zaczęli rozumieć niemiecki i orientować się trochę w piekielnej gmatwaninie spraw i zakazów, gdy ich ciało było już w rozkładzie i nic nie mogło ich uratować”¹⁴. Napięcie między przedwczesnością i spóźnieniem jest tu kluczowe, gdyż odsłania niemal nieskończony potencjał przystosowania ludzi przymuszonych do znoszenia tego, czego nie powinni byli znosić. Zawieszenie w skoncentrowanej przestrzeni czasu ostatecznego – sytuacji skrajnej, będącej w obozach regułą – obnażyło uniwersalną zasadę planowego wytracania terażniejszości jako podstawy funkcjonowania nowoczesnych społeczeństw zachodnich. Wojna okazała się zabójczą erupcją tempa, ale poprzedzały ją dziesięciolecia przygotowań, pogwałcania praw czasu i eksperymentów nad możliwościami ludzkiej adaptacji. Ceną stała się zmiana właściwości rzeczy – materii ludzi, którzy nieustannie mijają się z czasem.

Strata jako samoczynny powód¹⁵

Skrajne doświadczenia zaburzają czy wręcz uniemożliwiają odczuwanie tego, co aktualne, ale też – nawet gdy działanie niesprzyjających czynników minie – zostawiają za sobą smugę. Są jak kometa, za którą ciągnie się warkocz pyłu. Po wydarzeniu, po ocaleniu, po walce czy po przegranej tworzy się dynamiczny stan zmaconych emocji i dystansu do tego, co się przydarza. Trudno w tym stanie zdobyć się na odruchy bezpośredniości, choćby na konfrontację ze sobą tu i teraz. Jeśli długo nie było dane doświadczać tego, co terażniejsze, powrót – jeśli w ogóle możliwy – jest kontynuacją procesu przetrwania.

W świadectwach osób, które przeżyły wszystko, co było do przeżycia, powraca wrażenie oddzielenia szybą od bieżących wypadków, zawieszenia w tymczasowości, czasoprzestrzennej prowizorce. Mówią o tym czasie jako „przystanku”¹⁶. Używają lub nadużywają swoich ciał, czyniąc to „na próbę”, jak gdyby sprawdzali, ile zostało w nich życia. Działają na przekór cudzemu scenariuszowi, który nieoczekiwanie przeżyli. Zanurzenie na nowo w nurcie tego, co aktualne, jest niemożliwe, a jednocześnie jest koniecznością; próbą

¹⁴ Tamże, s. 99.

¹⁵ Nawiązuję do tytułu tkaninowej pracy Jadwigi Maziarskiej *Samoczynny powód* z 1950 roku (w zbiorach Muzeum Sztuki w Łodzi).

¹⁶ K. Person, *Dipisi. Żydzi z Polski w obozach DP w amerykańskiej i brytyjskiej strefach okupacyjnych Niemiec, 1945-1948*, Żydowski Instytut Historyczny, Warszawa 2019, s. 247.

otrząśnięcia się z wiążącej przeszłości. Przeżywcy zwykle nie mają poczucia bezpośredniego udziału w wydarzeniach i często nie rejestrują szkodliwości i autodestruktywności swoich działań. Poczynając od najprostszych przejawów, takich jak powojenne przejadanie się – niekiedy zabójcze w skutkach dla skrajnie niedożywionych ocalałych, przez intensywne wikłanie się w przypadkowe relacje, które wiązało się między innymi z masowymi zakażeniami, po konieczność zmagania się ze zdrowotnymi skutkami tych działań. Jak podawano we wrześniu 1945 roku w raporcie generalnego pełnomocnika rządu RP do spraw repatriacji z zony okupacji angielskiej:

Ilość nowo nabytych chorób wenerycznych po wyzwoleniu jest bardzo duża. Co druga młoda dziewczyna jest w ciąży (18-20-letnie), co zbiega się z uzyskaniem wolności. Lekarze są nagabywani o spędzenie płodu argumentem: co matka powie po jej powrocie, skoro z domu wyszła jako 14-15-letnia. Demoralizacja u młodych kobiet jest ogromna. Wśród mężczyzn młodych takiej demoralizacji nie ma¹⁷.

W raporcie pisanim na gorąco udaje się zarejestrować kluczowy moment czy raczej aspekt czuciomyślenia tuż po wojnie: młode kobiety, które ledwo przeżyły zniewolenie w obozach i które teraz odzyskują autonomię, zostają błyskawicznie przejęte do nowych celów. Ich ciała nie należały do nich podczas okupacji, teraz podobnie – są piętnowane jako zbyt wolne, nieprzyzwoite, zainfekowane, a więc stawiające opór w realizacji założonego ogólnie planu budowy zdrowego, funkcjonalnego społeczeństwa powojennego. I oczywiście według urzędników to wyłącznie kobiety są odpowiedzialne za ogólny chaos, szerzenie się chorób wenerycznych i niechciane ciążę. Zacieśnia się pętla czasowa: przyszłość jest uzgadniana w porozumieniu z przeszłością. Gdy dziewczyny opuszczały domy, „należały” do swoich rodzin, które obecnie powinny móc rozpoznać je jako „swoje” i dopiero „legalnie” udostępnić społeczeństwu jako przyszłe żony, matki i jako siłę roboczą. Teraźniejszość nie istnieje jako moment znaczący, traktowana jest ewentualnie jako problem do rozwiązania, przejściowy nieporządek, który stopniowo trzeba okiełznać, wyleczyć, wtłoczyć w ramy produktywności.

Jednak w momentach przejściowych trudniej zapanować nad ciałami, które próbują żyć tu i teraz. Zwłaszcza gdy stare formy zostały wyczerpane, gdy dopiero kształtują się nowe układy polityczne i gdy wyłania się reprezentacja

17 Tamże, s. 144.

instytucji. Taki kontekst sprzyja indywidualnym aktom swobody: wyłamaniu się z utartych scenariuszy zachowań emocjonalnych, kwestionowaniu status quo, które przecież i tak okazało się niewypałem, zbaczaniu z utartych ścieżek. Dla osób ćwiczących się na nowo w autonomii działań doświadczenie prowizorki i tymczasowości wcale nie musi być dotkliwie. Bywa pasem rozbiegowym, szansą na przeorientowanie się, punktem obserwacyjnym, trudnym przełomem. Szczególnie w tych przypadkach, gdy jednostka ucieka od rozpamiętywania wciąż niedokonanej przeszłości i brakuje jej sił na niemożliwą przyszłość. Jednocześnie ta faza dynamicznego zawieszenia, względnej potencjalności nie jest czasem pustym, „niewinnym” czy neutralnym politycznie. Wskazują na to nie tylko świadectwa ludzi, „zrodzonych na nowo”, ale przede wszystkim polityka działań normujących próby odzyskiwania teraźniejszości.

Rzecz jasna katastrofalne skutki wojennego tempa nie przyniosły zmiany w sposobie funkcjonowania instytucji odpowiedzialnych za rozwój społeczeństw – po wojnie zmieniła się retoryka, ale niekoniecznie praktyka. Modernizacyjne aspiracje były realizowane w cieniu wyścigu zbrojeniowego, a zobowiązanie „nigdy więcej” wybrzmiewało w pędzie „byle dalej, byle w przód”. Pęd ku przyszłości był w istocie ucieczką wspólnot europejskich od własnej słabości, strat i przeszłości, którą wszystkie strony w jakimś sensie przegrały. Ten ruch mobilizacji, samostanowienia, motywowania obywateli i obywateli do kolejnego wysiłku na rzecz wspólnego celu – choć zdawał się skierowany wyłącznie w przyszłość – w istocie bazował na wspólnotowym resentymentem. Zapalnikami do wyścigu była niemożność pogodzenia się z czasem i właściwym mu „tak było”¹⁸. Teraźniejszość znowu umykała w translacji przeszłych doświadczeń i krzywd na język wyzwania przyszłości. Ludzie mówiący, że wojna zabrała im dzieciństwo, młodość, niewinność czy beztroskę, w gruncie rzeczy przyznawali, że stracili swoją teraźniejszość. Jednocześnie ci sami ludzie ulegali presji nowego przyspieszenia, chcieli wierzyć, że stachanowskie wyczyny oszczędzą kolejnym pokoleniom trudów awansu, wedle zasady „zrób-to-żeby-twoje-dzieci-nie-musiały”¹⁹. Oczywiście zrównanie szans społecznych było mrzonką, a trzymali się jej przede wszystkim ci, którzy nie mieli już nic do stracenia. Jak wyniszczona robotnica, której równie wyniszczony dziecko umiera w momencie narodzin:

18 Por. G. Agamben, *Co zostaje z Auschwitz*, s. 71.

19 L. Berlant, *Okrutny optymizm*, przeł. K. Bojarska, „Widok. Teorie i praktyki kultury wizualnej” 2015, nr 10, s. 21.

Mówili, że w mieście jest praca,
 Że do fabryk przyjmują. Poszłam.
 Często myślą w tamte lata wracam.
 Wrzawa ulic ogłuszyła, poniosła.
 Nie umiałam odczytywać wyrazów.
 Nie wiedziałam, gdzie zwrócić oczy.
 Schodów, pięter bałam się zrazu.
 [...]
 Nam kobietom było najtrudniej.
 Za pół dniówki harowałam, jak gdybym
 Półczłowiekiem była półżywym,
 W dużym mieście. W takiej ciemnej studni²⁰.

Mit równoczesności i wspólnego tempa poniósł szybko klęskę, mobilność społeczna szła wieloma, zwykle wyboistymi drogami. Potencjał powojennego awansu stawał się faktem, ale wszystko zależało od punktu, z którego startowali awansujący. Wiejska niepiśmienna dziewczyna bez posagu z pozycji osoby zbędnej społecznie – „nieczłowieka”, jak chciałby ją widzieć system patriarchalny – przemieszcza się ku roli miejskiej wyrobnicy, by z wielkim trudem osiągnąć status półczłowieka. Szyborska rejestruje w tym wierszu wyraz jednostkowej utraty złudzeń „starej robotnicy”, która – mimo że zapłaciła najwyższą cenę za swoją nieznacność – mobilizuje do poświęceń kolejne pokolenie robotnic skupionych „nad kołyską ludowej konstytucji”.

Nieuniknione fiasko tych ideałów – niepogodzonych z przeszłością i ślepo zapatrzonych w przyszłość – było przykrywane retoryką mobilizacji do prześcigania wszystkich, „którzy nie z nami”. Z kolei te postulaty wraz z upadkiem komunistycznych rządów w Europie zostały zastąpione nowym celem-pułapką: doganiania tych, którzy mieli więcej szczęścia²¹. Ale jak zwykle, ci, do których statusu należy dążyć i którym lepiej się powiodło w innym ustroju, też mają mniej szczęścia od tych, do których sami mają równać. Kapitalistyczny paradoks ciągłego niedorastania do oczekiwań społecznych, nienadążania i pozostawania w tyle za bardziej operatywnymi jednostkami od kilkudziesięciu lat jest nieodzownym aspektem codzienności. Spirala porównań i mobilizacji przez negację wkręca „demokratycznie” ludzi właściwie

20 W. Szyborska, *Gdy nad kołyską ludowej konstytucji do wspomnień sięga stara robotnica*, w: *też, Wiersze wszystkie*, Znak, Kraków 2023, s. 91.

21 Por. K. Pobłocki, *Kapitalizm. Historia krótkiego trwania*, Bęc Zmiana, Warszawa 2020, s. 18-22.

wszystkich stanów ekonomicznych. Jak w jednym z „sielankowych” opowiadań George’a Saundersa:

Każdy może robić wszystko. Ale najpierw musi się postarać. A wy się nie staracie. Dwie nie pracują, a trzeci rozbiera się do goła? Dla mnie to nie jest staranie. Obijacie się, dzieci. I dlatego mieszkacie w niebezpiecznej melinie. A co się dzieje w niebezpiecznych melinach? Zastrane tragiczne zło. Na tym polega ten pierniczony amerykański styl życia: człowiek zaczyna w niebezpiecznej melinie i ciężko pracuje, żeby kiedyś awansować do trochę mniej niebezpiecznej meliny. A w końcu może kupuje sobie willę. Ale jak tak dalej pójdzie, to nawet o trochę mniej niebezpiecznej melinie będziecie mogli tylko sobie pomarzyć²².

Doganianie innych – standardów życia, wartości, pozycji – rozpatrywane w kategoriach jednostkowych zdaje się racjonalną metodą bycia w społeczeństwie. W każdym razie formowanych było w tym poczuciu kilka pokoleń drugiej połowy XX i początku XXI wieku. Dominująca liberalna logika, według której ten, kto się nie rusza, traci pozycję lub wręcz się cofa, wiąże się z gloryfikacją nadziei i determinacji jako praktykami optymistycznego wyglądania w przyszłość, na którą się zapracowało. Nadrabianie, awansowanie, pięcie się po szczeblach drabiny lub przynajmniej spoglądanie powyżej są uznawane za aktywności emancypacyjne. Osobliwe jest też przekonanie, że gonitwą za nieokreślonym celem można „kupić czas” lub zyskać na nim, wyprzedzając innych. Istotą tej logiki jest jednak nie tyle rozwój jednostek, ile systemowe gospodarowanie ludzkim potencjałem, eksploatowanie cudzej terażniejszości, z którą nie wiadomo co zrobić, jeśli nie trzyma się jej w ryzach efektywności. Padające odgórnie argumenty o konieczności gonitwy za lepszym jutrem lub potrzebie przeczekania dotkliwego „teraz” na rzecz przyszłego spełnienia postulatów są niczym innym jak aktami instytucjonalnej improwizacji, grą na czas, odraczaniem odpowiedzialności państwa za los obywateli.

A ludzie przywiązują się do obietnic „dobrego życia”, nawet jeśli go nie doświadczą i nie wierzą w szanse poprawy – przekonuje Lauren Berlant i nazywa to zjawisko okrutnym optymizmem. Nie jest to jedynie kwestia zależności psychicznej od populistycznych opowieści o przyszłym spełnieniu ani przejaw rezygnacji czy bezradności społecznej. Chodzi raczej o stopniowość

22 G. Saunders, *Morszczyń*, w: tegoż, *Sielanki*, przeł. M. Kłobukowski, Znak, Kraków 2021, s. 134-135.

budowanego efektu nadziei, dawkowanie okrutnego optymizmu od narodzin aż do śmierci²³. W praktyce trudna, ścierająca codzienność jest szatkowana na porcje łatwiejsze do przyjęcia. Uwaga skupia się na osiągnięciu kolejnych progów i następujących po nich momentach „niecodzienności”. I tak się żyje: byle do weekendu, byle do świąt, byle do wakacji i urlopu, byle się usamodzielnąć, byle awansować, byle się ustabilizować, byle do emerytury i tak dalej.

Berlant – pisząc o ścieraniu się i zużywaniu jednostek – zwraca uwagę na „powszedniość cierpienia w świecie współczesnym, nawet we względnym dobrobycie”²⁴. Uznaje przemoc instytucjonalną za normę, a mówiąc ściślej, w działaniu instytucji państwowych dostrzega głównie dążenie, by obywatele uznali przemoc za normę, jednocześnie nie interpretując jej jako formy przemocy. Oraz by uwewnętrznił mechanizm ciągłego dążenia do normy jako wspólnej wartości. W rezultacie potencjalna niezgoda społeczna na „okrucieństwo teraz”²⁵ jest konsekwentnie odraczana poprzez obietnice, przestrogi, fantazje i zobowiązania dotyczące przyszłości. Metody takiego zarządzania Berlant nazywa technologiami cierpliwości i wskazuje, że pod ich wpływem jednostki „drętwieją w obliczu obietnicy”, gdyż tę obietnicę rozpoznają błędnie jako własne/wspólne osiągnięcie²⁶.

Ludzie nieznaczeni przeciw nadziei

Nazywam te jednostki ludźmi nieznacznymi, ale wcale nie myślę o nich jako jakichś abstrakcyjnych „onych”, lecz jako o „nas”, uwikłanych, zależnych, nieobiektywnych i nie bardzo samosterownych bytach, które żyją tu i teraz. Z pewnością nie jest to określona wspólnota – jeśli już myśleć w tych kategoriach, są to zmienne, labilne, podzielone i wciąż dzielące się wspólnoty emocjonalne. Pisząc „my”, nie zakładam, że jako osoby nieznaczące mamy równe szanse lub że łączą nas wspólne doświadczenia, przekonania i wartości, choć przecież bywa i tak. A jednak łączy nas coś jeszcze, czego nie warto ignorować w badaniach humanistycznych, które – mimo skupienia na funkcjonowaniu tego, co kulturowe i społeczne – często nadal boją się deklaracji, unikają perspektywy pierwszoosobowej, zwłaszcza panicznie uciekają od jej

23 L. Berlant, *Okrutny optymizm*.

24 Tamże, s. 6.

25 Tamże.

26 Tamże.

liczby mnogiej, czyli od „nas”. Zatem kiedy piszę „ludzie nieznaczni”, to myślę „my” tu i teraz.

Tym czymś wspólnym – zresztą być może niewiele więcej nas łączy – jest współczesne doświadczanie czasu jako dyktatu tempa, rollercoastera, do którego wsiedliśmy niegdyś za cudzą namową, ale już żałujemy, bo nie wyrabiamy na zakrętach, a droga się nie kończy. Kiedy skupiam się na kategorii ludzi nieznaczących, to chodzi mi o jednostki, które są „większością”, które mają poczucie zanurzenia w codzienność stale wymykającą im się spod kontroli. Ich sprawczość jest rwana, niby mają możliwość „osobistego decydowania o linii swojego życia”²⁷, ale podmuchy przypadku, konieczność ścierania się z konwencjami i zobowiązaniami, wpływ instytucji „normujących” codzienność wywołują wrażenie wytrącenia z realiów. Jak gdyby było się bohaterem drugoplanowym własnego życia. Nieznaczące losy kształtują się w zależności od późnokapitalistycznych instytucji z ich dyktatem pośpiechu, wydzielaniem dostępu do cennej przestrzeni, traktowaniem czasu jako towaru, pozornego, bo wciąż naruszonego prawa do swobody i intymności. Losy zależą również od nieczułych procedur, rywalizacyjnej zasady pracy, presji „uniwersalnej” atrakcyjności, rwanej dynamiki relacji i tymczasowości obowiązujących reguł i wartości.

Nadmiar i szybkość napływających bodźców połączone z bezwładem organizacji życia zbiorowego w efekcie doprowadzają jednak do permanentnego przeciążenia jednostek. Wzrasta presja, ale niekoniecznie ludzka efektywność. I o ile bieg wydarzeń – a przynajmniej jego odczuwanie – wciąż przybiera na tempie, o tyle zdolności ludzkiej percepcji nadal nie są przystosowane do takich warunków życia. Obrazu dopełniają oczywiście strukturalna obojętność i niechęć lub wprost przemoc wobec tych, którzy nie godzą się z tym dynamicznym stanem rzeczy.

Ludzie nieznaczni to zatem ci wszyscy, którzy mają przyspieszać, doganiać, starać się, i jednocześnie ci, którzy nie nadążają, nie radzą sobie i nie wywiązują się – i to niezależnie od stanu i przywileju. Dla lepiej sytuowanych, choć też podlegają presji i ogólnemu pośpiechowi, skutki tych mechanizmów są zwykle mniej dotkliwe. Niemniej współcześni ludzie nieznaczni – mimo wszystkich różnic i podziałów – mierzą się „wspólnie” z konkretnymi zjawiskami: ogólnego przyspieszania działań jednych grup, spowalniania tempa innych grup, przytrzymywania i odbierania im mobilności, ciągłego odraczania dostępu do podstawowych praw, takich jak decydowanie o swoim ciele

27 H. Świada-Ziemba, *Wartości egzystencjalne młodzieży lat dziewięćdziesiątych*, Instytut Stosowanych Nauk Społecznych, Warszawa 1999.

i zdrowiu, wchodzenie w relacje i dostęp do legalizacji tych wyborów. Tego typu instytucjonalne praktyki odbierają jednostkom poczucie (lub złudzenie) samosterowności, utwierdzają je w nieznacznosci. Nieznacznosc jest więc przyczyną nierówności społecznych, a zarazem jej skutkiem, co utrzymuje efekt doskonale samoreplikującego się mechanizmu.

Zarządzanie cudzą terażniejszością zwykle przykrywane jest retoryką troski o obywateli, dbałości o bezpieczeństwo porządku publicznego, odpowiedzialności i dalekowzroczności planowania. Dzieje się to zgodnie z powtarzonym do znudzenia zapewnieniem, że najpierw należy walczyć o zasady demokracji, ustabilizować sytuację, zniwelować efekty konfliktu, kryzysu czy inflacji, a dopiero później przyjdzie czas na spełnianie mniejszościowych „zachcianek”. Argumenty racjonalne przeplatają się z emocjonalnymi obietnicami zmiany, poprawy, normalizacji, równości, przyrostu, dobrobytu. Nie ulega jednak wątpliwości, że presja nadziei ma bardzo wymierne cele, takie jak studzenie zapałów, łagodzenie potencjalnego oporu, skłanianie do zawieszenia żądań. I ta metoda zwykle działa, wciąż działa. James Baldwin pisał w latach pięćdziesiątych XX wieku o nakładanym na białych i czarnych „obowiązku dalekowzroczności” oraz „pracy na rzecz lepszych czasów”. Dodał jednak, że ani jedni, ani drudzy, a już z pewnością politycy „nie mają najmniejszej chęci, by spoglądać wstecz”, tymczasem bez tej konfrontacji z przeszłością terażniejszość nie będzie zrozumiała i znośna – podobnie jak przyszłość, która nie przyniesie zmiany²⁸.

Siedemdziesiąt lat później Renata Lis opowiada o oczekiwaniu środowisk queerowych w Polsce na „przyrodzone prawa ludzkie”. Na przełomie wieków nadzieja graniczy z pewnością, „że zmiany w polskim prawie są tylko kwestią czasu, i to naprawdę niedługiego”²⁹. Jednak „czas płynie, lata mijają”, projekty ustaw o związkach partnerskich są odrzucane, a życia kolejnych osób wytracają się w prawnej luce. „Przetrwałyśmy – pisze Lis o sobie i swojej ukochanej – nie takie rzeczy musiałyśmy w życiu dźwignąć”, ale „państwo polskie poinformowało nas kolejny raz, że dla niego nie istniejemy, a nasze potrzeby nie mają znaczenia”³⁰. Lis daje świadectwo wyczerpywania się nadziei i pyta wprost: „dlaczego ktoś, konkretnie ja, miałby poświęcać życie na trwanie w tak wrogim otoczeniu? O co miałabym tu walczyć – sama przeciwko (niemal)

28 J. Baldwin, *Zapiski syna tego kraju*, przeł. M. Denderski, Karakter, Kraków 2019, s. 29.

29 R. Lis, *Moja ukochana i ja*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 140.

30 Tamże, s. 152.

wszystkim? Komu stawiać opór – soli tej ziemi?”³¹. Jednocześnie inspirując się przewrotnymi strategiami przejęcia nadziei do własnych celów proponowanymi przez Rebeccę Solnit, ostatecznie wraca ku nadziei jako działaniu, gdyż – jak twierdzi – „potencjał każdej przyszłej zmiany leży na marginesie”³².

Powraca jednak pytanie Baldwina, czy zmiana musi być zawsze niesiona na barkach ludzi nieznaczących, którzy nie domagają się przecież niczego więcej jak należnych im praw. Teoretycznie nie ma innego wyjścia, jeśli pragnie się osiągnięcia celu. Nie zmienia to faktu, że jednostkowe biografie wytracają się w oczekiwaniu, które bywa przepełnione frustracją, zwątpieniem, zmęczeniem, niepewnością, złością lub wszystkim tym jednocześnie. „W konsekwencji nienawidziłem i bałem się świata”, pisze Baldwin i ukazuje autodestrukcyjne podłoża zarówno pasywnej nadziei, jak i czynnej aktywistycznej walki o prawa. Bolesny paradoks polega na tym, że obie postawy „dają światu okrutną władzę nad podmiotem”³³. Nietrudno w tym stanie o ożywienie zmór resentymentu, ale i przywiązanie do impasu w barwach okrutnego optymizmu.

Z pomocą w zrozumieniu tych zależności raz jeszcze przychodzi Berlant, przekonując o randze odkrywanego „w impasie rytmu, w który ludzie mogą wejść, gdy są rozdarci i rozchwiani, gdy coś negocjują i testują lub w inny sposób są zużywani przez obietnice, do których się w tym świecie przywiązali”³⁴. Okazuje się zatem, że bardziej niż spełnienia wyglądamy przynależności. Jeśli i ta jest limitowana, jesteśmy w stanie zadowolić się nieznaczną pozycją w czasoprzestrzeni – tej przyszłej, jeszcze potencjalnej, a już niewydarzonej.

Presja nadziei nie wystarczyłaby jednak instytucjom władzy, by utrzymać wiarę w przyszłość przy bazowaniu jedynie na obywatelskim niezadowoleniu z teraźniejszości oraz obawie przed zaburzeniem rytmu impasu. Konieczne jest też umiejętne, to znaczy znające miarę, kwestionowanie dotychczasowych osiągnięć, dojrzałości społeczeństwa i gotowości na zmiany, czyli działanie zgodne z populistyczną logiką, według której „obywatele tego nie chcą”, nie zaakceptują, nie rozumieją. Praktyka jest zyskiwaniem na czasie przez sprawujących władzę – zmiana wymaga przygotowań, które być może spadną na kolejnych wykonawców – ale i zobowiązaniem do dalszych starań grupowych. Odgórna krytyka tego, czym było społeczeństwo i czym jest obecnie,

31 Tamże, s. 178.

32 Tamże, s. 188.

33 J. Baldwin, *Zapiski syna tego kraju*, s. 30.

34 L. Berlant, *Okrutny optymizm*, s. 6.

jeśli wspólne wysiłki nie zostaną podjęte, bywa uważana za synonim rozwoju. W praktyce upodabnia działanie polityczne do mechanizmu sterowania popytem konsumenckim. Dyskusja o potrzebie nowości i postępu oraz kontrolowane kosmetyczne zmiany – „przepakowanie” produktu – wyczerpują wiele oddolnych żądań. Dają bowiem złudzenie chwilowego bezpieczeństwa opartego na konsensusie, odsuwają widmo radykalnych, gwałtownych zmian, które władzę mogą pozbawić władzy, a obywatele obywatelskości, czyli jednych i drugich poczucia kontroli i podmiotowości³⁵.

Komplementarną metodą zarządzania terażniejszością jest operowanie lękiem przed przyszłością. Nie chodzi jednak o straszenie obywateli, ale stosowanie strategii udaremniania, opakowywanej w retorykę troski i dbałości o bezpieczeństwo. Brian Massumi określa ją jako preempcję, czyli – znacznie upraszczając – oczekiwanie i projektowanie wariantów przyszłych wydarzeń i ich zapobieganie w terażniejszości³⁶. Zatem to, co jest racjonalnie i lękowo spodziewane jako potencjalny scenariusz przyszłości, zostaje zawczasu udaremnione. Nietrudno się domyślić, że te potencjalne przyszłe zagrożenia, których wizją instytucja władzy bombarduje ludzi nieznacznych, karmią się złymi doświadczeniami z przeszłości. Są więc też potencjalnie niewyczerpywalne – żerują na już ucieleśnionych afektach, które aktualizują nowymi bodźcami, wywołując gonitwę niepewności. Dzieje się tak, gdyż przestrogi łatwo zamieniają się w groźby, a te nie mają końca – to, co raz zostało odczute jako zagrożenie, na zawsze pozostawia swój afektywny ślad w jednostce, staje się realne, bo jest wcielone.

„Afektywne fakty” są więc ciągłym mediowaniem między strachami przeszłości a lękiem przed tym, co nadchodzi. W konsekwencji preempcyjne przeciwdziałanie nie tylko zmienia bieg i rozwój wydarzeń – jest jak samosprawdzająca się przepowiednia – ale i odbiera ludziom aktualność terażniejszości. Ontosiła jako narzędzie polityczne zmusza do afektywnego, mentalnego życia w przyszłości, która nie może się wydarzyć.

Przykładem, który pozwala odczuć skalę i konsekwencje społecznego oddziaływania tego mechanizmu, jest centralne wydarzenie nakręcające fabułę powieści *Zemsta należy do mnie* Marie NDiaye. Perfekcyjna matka, pani Principaux, pewnego zwykłego dnia, niedługo po śniadaniu topi w wannie trójkę

35 Por. M. Krajewski, *(Nie) nawidzenia. Świat przez nienawiść*, Universitas, Kraków 2020, s. 132.

36 B. Massumi, *Przyszłe narodziny afektywnego faktu*, przeł. J. Tabaszewska, „Teksty Drugie” 2019, nr 6; por. też J. Tabaszewska, *Przeszłe przyszłości. Afektywne fakty i historie alternatywne*, „Teksty Drugie” 2017, nr 5.

ukochanych dzieci. Nieprzesadnie tym poruszony mąż i ojciec zatrudnia adwokatkę do obrony żony – deklaruje, że choć nie rozumie jej motywacji, to nie czuje złości i pragnie pielęgnować ich związek w trosce o wspólną przyszłość. Aresztowana żona odmawia jednak kontaktu z panem Principaux – godzi się jedynie, i to niechętnie, na rozmowy z adwokatką. Z jej rwanej opowieści wynika, że mężczyzna zapewnił jej komfortowe, dostatnie życie, jednocześnie stopniowo nakłaniając do rezygnacji z wszystkiego tego, czym była i co zyskała jako awansująca dziewczyna: z ambicji dalszego kształcenia się, pracy nauczycielki, znajomych, rodziny. Jej jedynym zadaniem stało się dbanie o rozwój dzieci i wspólną spokojną przyszłość rodziny. Mąż i ojciec – głównie nieobecny w domu, zapracowany, niechący ubrudzić się codziennością – realizuje tu nie tylko metody działania liberalnego patriarchy, lecz także zarządzania preempcją. Jego żona zostaje wyćwiczona w ciągłej gotowości przeciwdziałania zakłóceniom: byle nie było nieporządku, byle nikt nie zachorował, byle dzieci się nie pokłóciły, byle nie hałasowały, byle nie zirytowały ojca. Teraźniejszość jest przeszkodą dla pomyślnej przyszłości, rolą opiekunki jest więc wygładzanie wszelkich rys i wyciszanie szumów. Bezsilny opór, który w niej narasta, nie może przynieść wyzwolenia. Kobieta jest ofiarą ontosify, została zaszczerpiona preempcją, akt załamania powieliła więc logikę tej metody. Pani Principaux dogląda po raz ostatni swoje piękne, zadbane dzieci – najmłodsze karmi piersią – myje je i topi, po czym suszy, czesze, ubiera, układa na łóżku w naturalnych pozach i wzywa policję:

Zawsze wiedziałam, że moje dzieci nie dożyją dorosłości. [...] Myślałam, że uderzy w nie jakieś nieszczęście z zewnątrz, no nie wiem, że wpadną pod samochód, że pożar... Budziłam się czasem gwałtownie, śniło mi się, że są martwe, a ja nie zrobiłam nic, by je ocalić. [...] Wiedziałam, jak każdego dnia, że moje ukochane dzieci zostaną mi odebrane, ale nie wiedziałam jak ani kiedy, tylko tyle, że tak będzie i że... wyczekiwałam tej chwili, ale nie miałam prawa tego zrobić, no ale wierzyłam, że odejdą w sposób mniej bolesny, jeśli to ja... no, jeśli to ja dokonam tego czynu, ja która kochałam ich i rozpieszczałam. [...] Wielki spokój spłynął na moją duszę, bo to się nareszcie stało, bo nie musiałam się już bać, ponieważ się stało. Ale właśnie dlatego, pani mecenas, właśnie dlatego nie powinniśmy o nic mieć pretensji do pana Principaux³⁷.

37 M. NDiaye, *Zemsta należy do mnie*, przeł. M. Kamińska-Maurugeon, Filtry, Warszawa 2023, s. 189-190.

Preempcyjne przeciwdziałanie wyobrażonym scenariuszom przyszłości tak naprawdę infekuje wszystkie strony dramatu. I panią Principaux, która zapewne spędzi resztę życia w więzieniu, gdzie odnajduje schronienie przed presją przyszłości, i wychowanego w takim modelu działania pana Principaux, który jako krzywdzący innych zarządca preempcji sam jest bezradny wobec rzeczywistości, brzydzi się codziennością, nie żyje, lecz jedynie wypełnia pracowe obowiązki. Okazuje się też, że analogiczna zasada zdeterminowała pozycję adwokatkę – kobietę z awansu, bez imienia, bez właściwości, wyrzekającą się relacji, uczuć i ciała, by zdobyć, a następnie utrzymać pozycję niezależnej, wykształconej i sprawczej przedstawicielki klasy średniej.

Marie NDiaye ukazuje cenę awansu społecznego realizowanego w formie gospodarki łupieżczej na własnym życiu: bohaterka przypląca go niemożnością zaangażowania w to, co ją otacza. Nie ma jej samej ze sobą, chwila obecna nie istnieje. Splot okoliczności – konfrontacja z państwem Principaux – wyrzuca ją z pędu ku przyszłości i zderza z porządkiem dziwnej, nieprzepracowanej przeszłości, co w rezultacie sprowadza ją na mentalne dno – kobieta okazuje się bankrutką na każdym polu. Gdy wychodzi z kryzysu i powoli odzyskuje zdrowie, z trudem rozpoznaje swoje ciało, nie orientuje się w otoczeniu, zdaje się więc na przypadkowych ludzi i sytuacje. I dopiero po tej zapaści zaczyna odczuwać terażniejszość jako konkretny, realny wymiar. Jeszcze nie wie, jak się w niej odnaleźć, ale ma już świadomość, że bez konfrontacji ze sobą tu i teraz nie pójdzie ani kroku dalej.

Teraźniejszość nie do odzyskania

Jeśli druga wojna światowa pozbawiła – lub raczej powinna była pozbawić – społeczeństwa europejskie resztek złudzeń co do wiary w ideę nieskończonego postępu, to epoka późnej ponowoczesności odebrała i nadal odbiera nadzieje na odzyskanie terażniejszości. Wypracowane po wojnie modele przetrwania – zwłaszcza dominujący model jaszczurki rozumiany zarówno jako forma świadczenia o minionych wydarzeniach, jak i scenariusz przetrwania kolejnych dotkliwych prób – z pewnością były nieodzowne w konkretnym powojennym momencie historycznym³⁸. Jednak w dłuższej perspektywie te formy stosowane przez samych ocalałych i świadków, a także szersze kręgi społeczeństwa, włącznie z kolejnymi pokoleniami, okazały się

38 Pisząc o przetrwaniu i modelu jaszczurki, nawiązuję do argumentacji z innego mojego artykułu – por. *Formy przetrwania*, „Teksty Drugie” 2023, nr 2.

problematyczne. Idealistycznie zakładając, pozwalały bowiem mediować między krzywdami przeszłości – jeśli w ogóle dopuszczały trudne afekty do głosu – a okrutnym optymizmem przyszłości. W tych scenariuszach przetrwania opartych na mobilizacji i presji nadziei znowu programowo wytracała się terażniejszość.

I nadal tak się dzieje, choć pokolenia urodzone na przełomie XX i XXI wieku nie są w stanie tego układu rzeczy wytrzymać. Generacje przegrywów, milenialsów, płatków śniegu i lol-ludzi coraz powszechniej odmawiają gry kartami okrutnego optymizmu. Przyszłość jawi im się wyłącznie jako otchłań niepewności, odmawiają udziału w jej mozolnym projektowaniu. Niekoniecznie jednak potrafią się odnaleźć w terażniejszości, która zdaje się nadto dynamicznym impasem. Inna rzecz, że zapewne nikomu to się nie udaje, ale poprzednim pokoleniom bardziej zależało na wypracowaniu strategii pozorowania: nadążania, ogarniania, panowania. Jest też szansa, że jednostki nie potrafią żyć w terażniejszości, a zarazem zwyczajnie nie chcą odzyskać tego doświadczenia, bo wydaje się zbyt dotkliwie, dziwne, przytłaczające swoją bezforemnością. Podtrzymywany przez instytucje i przekazywany międzypokoleniowo trening jest więc aktualizowany w indywidualnych odruchach ucieczkowych.

Nie przypadkiem współcześnie jedną z największych kar za przestępstwa lub za występowanie przeciwko przyjętym zasadom są różne formy pozbawienia wolności. Nie chodzi jednak wyłącznie o izolację od reszty społeczeństwa, ale też – jak sądzę – o przymuszenie uwięzionego do konfrontacji z samym sobą w terażniejszości. W zamkniętej przestrzeni względnie wyciszonych kontekstów oprócz pamięci, wyobraźni i punktowych kontaktów ze światem zewnętrznym osadzeni nie mają narzędzi do podtrzymywania relacji z przeszłością i budowania własnej przyszłości. Są skazani na to, co bieżące, na przykład konfrontację z kolegami z celi i zafiksowanie na materii krat więziennych. Jak w opowiadaniu o Bobie Dusicielu Denisa Johnsona:

Zaczynał się grudzień, sądziłem, że kroi się popołudnie jak zwykle, czyli bardzo powoli przeistoczy się w męki piekielne bez końca [...]. To była taka pora, kiedy czas się paskudnie wykoślawiał, coraz dalej od obiadu, a do kolacji jakoś ani ciut bliżej, kraty stawały się twardsze niż żelazo i naprawdę czułeś, że cię zamknęli. Całe piętro, część wspólna, cele wokół niej i opasujący ją pomost – wszystko to było niewiele większe niż boisko do kosza, i każdy świetnie zdawał sobie sprawę, że jak pójdzie się przejść

pomostem, po dwustu sześćdziesięciu krokach trafi znów w to samo miejsce. Pora kolejnej drzemki, ślepienia w telewizor³⁹.

Chwila obecna materializuje się właśnie w wykoślawieniu, gęstnieje do granic wytrzymania w nadmiarze ciał, braku intymności i zawieszeniu innych perspektyw. Teraźniejszość zdaje się jedynym dostępnym wymiarem, choć i tak nie ma do niej bezpośredniego dostępu – jak do własnych uczuć i podanego cenzurze ciała. Teraźniejszość jest kumulującą siłą, bohaterowie Johnsona „dają się pochłonać [tej] straszliwej energii i stają się nią samą”. Wariują od niej, a w szczytowych momentach zastygają w figurach bezsilnej wściekłości – jak Byku, który „stojąc na stole, uniósł ręce i przez chwilę mocował się z niewidzialnymi kratami [...]. Mam DOSYĆ. DOSYĆ. DOSYĆ”⁴⁰. Tym, co ratuje od odczucia aktualności, co pozwala ją resetować i znaleźć chwilową ulgę, jest wciśnięcie czerwonego guzika alarmowego znajdującego się w celi. Na ten sygnał wpadają do środka strażnicy, by rutynowo „spałować” sytuację i odroczyć amok przemocy więźniów. I tak codziennie, byle do kolejnego dnia.

Powstaje pytanie, co w realiach pozawięziennych pełni na co dzień funkcję czerwonego guzika? Z pewnością są to różne sposoby dystansowania się od tego, co otacza. Na przykład przez moszczenie się w tymczasowości i prowizorce, wyobrażanie sobie, że właściwe życie dopiero przyjdzie, a to, które trwa, wymaga przeczekania. Taka postawa może wynikać z bezsilności mierzenia się z realiami, niemożności decyzji, którą ścieżkę chciałoby się obrać, przywiązania do pasywności jako siły pozwalającej na zewnętrzne sterowanie albo też ze skłonności do umniejszania własnej egzystencji, poczucia, że jeszcze nie zasłużyło się na spełnienie, radość czy docenienie. Czerwonych guzików i strategii przetrwania może być z pewnością tyle, ilu jest performerów tymczasowości.

Vivian Gornick pisze, że „wciąż kupowała czas i wciąż nie wiedziała po co”, „z jakiegoś powodu nic nie było na miarę oczekiwań”, nie bardzo umiała pracować, utrzymywać relacje, korzystać z codzienności, więc „z czasem ogarnęła ją wielkie znużenie. Jakby zasnęła na stojąco i potrzebowała, żeby ktoś ją zbudził”⁴¹. Aż w końcu zrozumiała, że od życia odgradza ją „piekielny niedosyt” w postaci tęsknoty za przyszłym, nieistniejącym ideałem. „Pomyślcie o tych

39 D. Johnson, *Bob Dusiciel*, w: tegoż, *Szczodrość syreny*, przeł. K. Majer, Karakter, Kraków 2022, s. 83-84.

40 Tamże, s. 86.

41 V. Gornick, *Kobieta osobna i miasto*, przeł. Ł. Witczak, Filtry, Warszawa 2022, s. 62.

wszystkich Nataszach, wdychających przez trzy długie akty [w dramatach Czechowa – A.D.] za tym, co się nie ziściło i ziścić się nie może” – proponuje pisarka i porównuje egzystowanie przyszłością do perspektywy księżniczki na ziarnku grochu, która nie może spać, bo pod dwudziestoma materacami wyczuwa właśnie to jedno ziarnko⁴².

Własne życie jako projekt przyszłego użytku to zwykle realizacja kolejnych wariantów „pędu pogoni, pędu ucieczki”⁴³. Wielość napływających bodźców utrudnia koncentrację i szatkuję percepcję, co w połączeniu z mnogością codziennych zadań i faktyczną lub wmówioną koniecznością pośpiechu stwarza efekt realiów nie-do-zniesienia. Wiele osób skarży się na brak czasu, by realizować podstawowe potrzeby fizjologiczne, takie jak sen, ruch czy jedzenie. Niektórzy celowo limitują sobie zmysłowe odczuwanie i reakcje lub wprost zapominają, że mają ciała. Jednocześnie te ciała są „terminal online”, nieustannie i nieuleczalnie zanurzone w wirtualnej rzeczywistości. Niemal bezkresny dostęp do zróżnicowanych treści, media społecznościowe, komunikatory, gry, telewizja i inne rozpraszacze lub raczej zawłaszczacze uwagi pozwoliły wytworzyć nawyki, które skutecznie odcinają lub przynajmniej niwelują kontakt z bardziej materialnym (w tradycyjnym sensie) otoczeniem. Wyskakiwanie z niemożliwej do zniesienia terażniejszości w sferę wirtualną pochłania sporo czasu przeznaczanego na pracę, ale i staje się formą (pozornego) odpoczynku. Ludzie nieustannie skrolujący ekrany są na tyle rozproszeni, by nie móc efektywnie pracować, a zarazem są tak zmęczeni, że nie potrafią odpocząć inaczej. W rezultacie nawet formy rozrywki i relaksu są pasywno-aktywnym uczestnictwem w komercyjnych i politycznych trybach mediów społecznościowych. Niewiele zmienia świadomość tych zależności i uzależnień. Trudno wyzwolić się od wyrobionych gestów.

Tu-teraz jako schron przeciwczasowy

„Od jak dawna ludzie myślą o terażniejszości jako czymś, co ma swój ciężar, co oddziela nas od innych rzeczy, co stanowi przeszkodę dla życia?” – pyta retorycznie Berlant. Skoro jednak terażniejszość została dawno temu zawłaszczona do celów politycznych, które stale splatają się ze stawkami kapitalistycznymi, i skoro tak trudno odnaleźć się w odczuciu terażniejszości, może warto poszukać innej formy bezpośredniości? Schronem przed tym

42 Tamże, s. 64.

43 R. Krynicki, *Pęd pogoni, pęd ucieczki*, Biuro Literackie, Kołobrzeg 2016.

nieludzkim formatem terażniejszego może być bardziej spersonalizowane tu-teraz. Myślę o nim jako przeciwczasie i przeciwprzestrzeni umożliwiających choćby chwilowe odejście od wizji linearnego wynikania, ciągu przyczynowo-skutkowego zdarzeń i ciągłego podążania za celem lub do konkretnego celu. Tu-teraz nie jest odcięciem się od przeszłości ani nie jest antyprzyszłością. Bycie w tu-teraz oznacza psychocieleśną (dys)pozycję otwartości, w której minione doświadczenia łączą się z tym, co nadchodzi, jednocześnie wciąż wchodząc w reakcje z bieżącymi wrażeniami. Tylko tyle lub aż tyle. Ten tryb bycia czy jego charakterystyka mogą się wydawać banalne, ale nie są wcale oczywistym doznaniem. Ile razy na dobę we współczesnym układzie rzeczy pozwalamy sobie na bycie tu-teraz? No właśnie. Dopóki ta jednostka odczuwania czasoprzestrzeni nie zostanie przez nas samych uznana za podstawowe i niezwykłe prawo, nie przywilej czy nagrodę, ale właśnie prawo, tak długo terażniejszość nie zaistnieje jako fakt społeczny.

I nie jest to wcale kwestia uważności. To znaczy jest i nie jest, odkąd uważność została porażona nadmiarem bodźców i funkcji, a nadzieje na jej resetowanie są umiarkowane. Większą wagę przywiązywałabym do potencjału dezorientacji. Skoro współczesny zalew informacji, obrazów, wrażeń wirtualnych i materialnych i tak nie daje szans, by dezorientację przekroczyć, warto uznać ją za istotny potencjał poznawczy i odcuciowy. W tej perspektywie afektywne intensywności, niejednoznaczności i zmałowane emocje przestają być traktowane jako przekleństwo codzienności. Są jednostkowym wezwaniem, by wrócić do tu-teraz, są ucieleśnieniem tu-teraz, wczuciem się w siebie, które wchodzi w interakcje. Ten pasywno-aktywny potencjał doznawania nie musi być intencjonalny. W dwojakim sensie: może wydarzać się mimochodem, niejako w tle, poprzedzając racjonalizację samego dynamicznego stanu i jego „korzyści” poznawczych. Może też pozwalać na doświadczanie bez intencji, czyli takie, które nie jest skupione na pozyskiwaniu i kumulacji wrażeń i które każe spoglądać wyłącznie w przód.

Tim Ingold przekonywał o wartości bycia pełnego uwagi, „atencjonalnego” skupiania się na środowisku materialnym, ale przecież własna pozycja również należy do tego środowiska. I właśnie z tych trywialnych powodów powrót do afektywnego ciała w tu-teraz staje się także postulatem politycznym, bo odsłania ogromne połacie tego, co aktualne, co nie chce być skazane na wieczną tymczasowość i pozostawać wiernym cieniem przyszłości. Jest to więc pozycja potencjalnej niezgody na dany czas, instytucjonalnie definiowany, zarządzany, projektowany, dyscyplinowany i kontrolowany.

Jeśli bowiem dostrzeże się rozległą sieć nieznaczących bytów międzypokoleniowo i międzygatunkowo połączonych ich własnym, zarazem jednak współdzielonym tu-teraz, to łatwiej będzie też zauważyć, odczuć i próbować rozumieć nietożsame rytmy i tempa, polifonię czasów, różne formy przeżywania czasu i jego zakłóceń. Zauważyć, ale i dać się zdezorientować, tracąc złudną i zgubną potrzebę panowania nad zmierzwionymi materiami. O takim momencie zagubienia się na kognitywnej mapie jako chwilowym ratunku pisze Małgorzata Rejmer w opowiadaniu o wojnie w Albanii, które – choć jest fikcją – dotyczy autentycznego konfliktu i przedstawia scenę rzeczywistego spotkania:

Gdy siedzieliśmy w krzakach w środku nocy, gdzieś, niedaleko, usłyszeliśmy kroki. Kanonadę kroków. Dziecko we mnie pomyślało, że nas zabiją, a zwierzę we mnie pomyślało, że nas zarzną. Zebraliśmy się, kilkanaście osób, i nikt nie drgnął. [...] Okryci czernią, czekaliśmy cicho i długo, a potem zaświtała szarość i zaczęła kreślić kontury. Nagle ktoś jęknął. Ujrzelśmy jasną plamę, która na naszych oczach przybrała kształt białego konia. Nasze ciała wyprostowały się, stawy zaskrzypiały, płuca nabrały powietrza. Odurzeni, zbliżaliśmy się do konia. [...] A koń przed nami, przedziwnie silny i piękny, w spokoju jadł trawę, bo nie wiedział, czym jest wojna [...], bo nie był śmiercią, lecz życiem. [...] Czuliśmy ulgę, bo po raz kolejny odzyskaliśmy życie, a wraz z nim nadzieję. Dziecko we mnie dotykało miękkiej skóry konia, a ja czułem, że narodziłem się na nowo. Słońce podnosiło się na horyzoncie. Któreś z nas chciało zabrać konia ze sobą, jakby jego obecność mogła nas uratować. A przecież nic nie mogło ocalić nas przed losem. Mój ojciec powiedział: Zostawcie go⁴⁴.

Ludzie nieznaczący, którzy na wiele sposobów próbują pozostać ludźmi, w przecięciu szlaków ludzko-zwierzęcej bezpośredniości zwielokrotniają swoje odczuwanie, odnajdując nowe siły. Przekonują się bowiem, że przyszłość jest przemieszczeniem – ani wyrokiem, ani bezpieczeństwem, ale ryzykiem, które ponosi się tu-teraz, by doznać choćby zaczątku zmiany.

44 M. Rejmer, *Ciało meduzy*, w: *też*, *Ciężar skóry*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 64.

Abstract

Agnieszka Dauksza

JAGIELLONIAN UNIVERSITY IN KRAKOW

A Journey to the Here-and-Now

The article focuses on causes for the extinction of the present in modern and postmodern realities; about the institutional standardization of time, the forging of routine gestures, attempts to unify work rhythms, top-down management of time, and the shaping of its experience by individuals. The history of modern practices aimed at progress, haste, and profit maximalization continues to impact social functioning. These practices translate into modern problems with experiencing the present, which is sometimes treated as a link between what was and what will be, a building block of the future or an obstacle that separates us from life, an obstacle that we should wait out. The author claims that although reclaiming the present seems impossible, it is worth finding oneself in the here-and-now. The disorientation and (dis)position of openness – related to the present – provide an opportunity to return to a greater directness, providing possible basis for disagreement and expression of political demands.

Keywords

the present, here-and-now, immediacy, time studies, future, time